

jest we mnie wasz ból, co mnie żłobi

Salvatore Quasimodo

Dokądkolwiek. Dokąd? Do kąta. Kolwiek. Wiek. Czas jakby spadł ze skały. Pokruszone kamienie, ściany tak spękane i zniszczone, aż świadczą o naszym losie, odbijają go w swoim makijażu, surowym i słodkim, bo przegranym. Ulica była wówczas zaorana światłem i gnojem. Dajesz wiarę stary? Człek pędzi wprost w ścianę zachwycony końcem i wpada w cholerne końskie łajno. Gdy poczułem jak mój but zanurza się w brei błota, gnoju i piachu, nagle ujrzałem lśnienie. Rozumiesz? Cuda niewidy, albo właśnie widy, zwidy, objawienia, widoczne znaki, które należy odczytywać w skupieniu, uczciwie i ze świętą uważnością. Tak to już jest, że gdy pomiesza się to jaśniejące z tym stłoczonym w odmętach człowieka lub konia, wówczas doświadczasz prawdziwego. Pamiętam jeszcze co mówię, wiem, że nie rozumiesz z tego zbyt wiele, ale mam to gdzieś, nie oglądam się już na nikogo. Możesz sądzić, że to bredzenie chorego człowieka, ale nie uciekniesz od tego, że w końcu trzeba skupić się na sobie. Choćby przez rok, kilka miesięcy lub nawet przez jeden dzień. Wejść w siebie. Musisz przejechać przez siebie samotnie jakbyś galopował konno przez szeroką prerię, a potem możesz sobie śmigać gdzie chcesz, kiedy już doświadczysz siebie, wetkniesz paluch w swój bok, w swoją ranę, w tę ciszę własnej krwi. Więc myśl co chcesz, ale zamknę cię tu na te kilka dni, aż skończymy, aż dojedziemy do końca tej opowieści i kiedy powiem: wystarczy, postawisz wreszcie ostatnią kropkę, a właściwie, to ja postawię ją twoimi rękami. Jeszcze będziesz mi za to wdzięczny, zobaczysz. Więc się nie ruszaj, stary już jestem i oczy już nie te, ale patrz co mam w ręce. Ostre, co? Ja będę mówił, a ty pisz, jak zwykle. Chcę już to wszystko doprowadzić do końca, nim wszystko zapomnę i pokryje mnie kurz, stare szmaty i sterty szyszek.

Zapisuj, a potem gdy zniknę, pamiętaj o tej lekcji. Musisz skupić się przez pewien czas na sobie, wymyślić swój język, znaleźć dla niego odpowiednią gramatykę i rygorystyczne zasady. Tylko wówczas będziesz mógł wrócić i zmierzyć się ze światem. No, nie bój się starego świra, nie zrobię ci krzywdy. Chodzi mi o ten święty moment, który kiedyś sam przegapiłem i przegrałem życie. Więc lepiej sam się wyzwalam z niewoli, rozbijaj kolejne gwiazdy i wpadaj sam sobie w objęcia jak nieziemska kula w wielki błękit. Ha! Dokądkolwiek pójdziesz zaleje cię porzucony obraz. Dokąd kurde kolwiek byś szedł, zaszedł, wszedł w odmęty i tak zaraz wracasz. Z kim? Kolwiek? Z kimkolwiek? Na przykład z cieniem pod powieką, pustką w krawacie lub z brakiem w garniturze? Bzdura! Wracamy do piersi matki, czyli do siebie utraconych szans, do samego siebie, który już nigdy nie może się stać.

Poruszył głową. Boli. Pęka. Tryska z niej jakaś maź. Sprawdził czy głowa leży na swoim miejscu. Leży. Sprawdził czy rusza się w lewo i prawo. Rusza się. Dotknął zębów i czoła. Wszystko gra. Włosy? Podeszedł do lustra. Rosną! Jejku, kiedy one tak wyrosły, zdziaczały jak on. Właśnie to ujrzał wyraźnie. Chyba najbardziej w oczach, które drżały aż zamrugano w nich coś bolesnego i nerwowego. Nie pamiętał co się wczoraj stało. Ciało stało w kącie. Dokądkolwiek szedł, z kimkolwiek przecinał kolejne wstęgi szos, był odcięty.

Spojrzał na zegarek. Chryste Panie, zawołał, zupełnie zapomniałem. Zrzucił z siebie wczorajsze ubranie i wskoczył pod prysznic. Lodowata woda wzbudziła w nim pragnienie, aby wyc. Gdy wyszedł spod prysznic, wycie wciąż wydawało mu się idealnym rozwiązaniem. Więc zawył, zakwilił, ale do swego wnętrza, aby nikt nie usłyszał jak pięknie i melodyjnie można zawyc cały świat.

Uświadomił sobie, że był umówiony i nie przyszedł, że się z nią nie pożegnał. Dziś przecież bladym świtem wyjechała na kilkanaście tygodni na północ, do kraju, w którym

ludzie chodzą niemal cały rok w grubych, wełnianych czapkach, mało się uśmiechają i zapadają się wciąż w siebie. Mieli się spotkać, pożegnać, dotknąć. On bardzo tego pragnął. Ona nie przejawiała entuzjazmu. Lecz w końcu się zgodziła.

Ostatnio nie widywali się. Rozmawiali codziennie przez telefon, pisali maile, w których ona pisała jakieś frazesy o klerkizmie cytując tego nudziarza Julienu Benda albo zasypywała go swymi przemyśleniami na temat kontyngentyzmu i teorii Emille'a Boutroux. A co to mnie wszystko obchodzi?! wściekał się czytając kolejnego maila. Chciała być wciąż damską odmianą demiurga układającego po swojemu świat z tym wkurzającym diabelskim błyskiem w oku. Szukała partnerów do filozoficznych dysput i w kółko gadała o nowych pomysłach, pracach i wystawach. Miał tego dość. Zgodnie z jej wolą tworzyli związek ludzi spotykających się ze sobą raz na kilka miesięcy. W rozmowach unikali przyziemnych tematów, bo takie miała życzenie. Musieli wciąż rozmawiać o jej wspomnieniach z dzieciństwa, jej traumach i jej wschodnich korzeniach. Liczył się jej buddyzm i fascynacja chińskimi filozofami. Jałowe bycie w niebycie. Chciała czarować go notorycznie swą tajemniczością, której on od dawna nie dostrzegał.

Chciał się jednak pożegnać przed jej wyjazdem, bardzo mu na tym zależało i długo ją o to prosił. Przepadło. Ona zapewne już schodzi do lądowania kołując posępnie nad bezbarwnym Oslo, zanurzając się chciwie w kolejnych zbyt ciemnych chmurach, z których wychodzi się zawsze zachmurzonym i deszczowym, bo taki jest świat. Można go przytrzymać na chwilę przy sobie, jak człowieka ze zdjęcia, a potem i tak ciało znika z obrazka i pozostaje tylko ta brązowa ramka, obwódka na ścianie i ślad po wbitym gwoździu. Zaśmiał się gorzko, próbując sobie wyobrazić ją sprzed kilku godzin, już spakowaną, uczesaną, ubraną w czerwoną sukienkę na ramiączkach, pachnącą jak lada w zatłoczonej perfumerii. Widział ją jak zerka na zegarek, z początku leniwie i beztrosko, dopijając kawę z kubka z trzema świnkami i wilkiem, potem już nerwowo, w roztargnieniu, by na koniec wziąć bagaże, trzasnąć drzwiami i wsiąść do taksówki, która zawiozła ją pustymi ulicami miasta na jeszcze bardziej puste i samotne lotnisko. Widzi teraz pewnie w dole śmieszne i skurczone miasto, do którego zbliża się powoli, lecz zbliżyć się nie może, tak jak nie potrafi zbliżyć się do niego. A on stoi przed lustrem nagi, trzęsący się po wyjściu spod lodowatego prysznica i śmiejąc się sterczy tak z wielkim fiutem objającym się o wszystkie latarnie w tym mieście, tak skacowanym jak on, tak nieposłusznym i znudzonym, jak wszystkie jego dni przeżyte w ostatnim czasie.

Nagle poczuł ulgę. Zaraz siądzie do komputera, zacznie pisać ostatnie rozdziały książki i będzie znów sobą. Nie będzie musiał niczego udawać i niczego przekształcać w maski jakiegoś sensu, których nigdy nie zakładał. To ona stylizowała się na kogoś, kim nie jest, na odmawiającą współudziału artystkę. Była niczym Barbie przerobiona na femme fatale. Po raz pierwszy pomyślał o niej z niesmakiem, jak o kimś kto roztacza fałszywą aurę kogoś, kim jest się tylko przed kimś, w imieniu kogoś innego.

Stał przed oknem i zobaczył krążące po murach sąsiedniego domu cienie roślin i drzew, coś unieszkodliwionego światłem zakwitło w oddali. Więzienie ciała, z którego nie potrafił się uwolnić i wydostać przybierało wciąż formę przetworzoną, obcą, pomniejszoną w odbiciu, powidoku, w cieniu obcego słońca, którego zaćmienie nie nadejdzie nigdy.

Wokół wałały się po podłodze zgniecione puszki po piwie i coli, stare zdjęcia z rodzinnego archiwum, puste pudełka i plastikowe opakowania, śmieci i popękane figurki. Ich twarze były bezbarwne i zimne. Trzeba skupić się na sobie, pomyślał, trzeba ratować swój język, zanim wchłoną go inne języki, zanim przykryją go poprawną składnią i gramatyką z pustego słownika.

W telefonie dostrzega wiele nieodebranych połączeń. Większość od niej, jedno od mamy i jakiś nieznaną numer. Jest też sms: miałaś przyjść rano pożegnać się co się stało? Odpisuje po kilku godzinach: artyście nie trzeba wierzyć na słowo. Potem telefon milczy do północy, po północy też i będzie tak milczał jeszcze wiele dni. On poczuje, że już nie istnieje, że już go nie ma. Ale jest. Następnego dnia zaczyna śpiewać piosenkę z dzieciństwa. Zapomniał już słowa, ale ma przynajmniej melodię. Słowa się znajdują.

Kiedyś tam, przy okazji. Więc śpiewa, wraca znów głodny i gotowy. Pisze i nie ma już żadnych pytań, a odpowiedzi nigdy go nie interesowały.

Następnego dnia idzie nad rzekę popływać. Gdy wyciera się w ręcznik dostrzega między kamieniami małego ptaka ze zwichniętym skrzydłem. Przygląda mu się z bliska. Widzi jak drży, jak chowa się w sobie, a jego łebek próbuje oderwać się od kalekiego ciała i odlecieć. Ten obraz zapisuje w pamięci jak fotografię w albumie. Czuje napływającą czułość. Pierwszy raz od dawna. Poczekaj tu, zaopiekuję się tobą, mówi do ptaka i biegnie w stronę wielkich liści łożniany, aby na jednym z nich ponieść go do domu. Gdy zrywa liść, składa go na pół. Wówczas odwraca się i widzi pod nieznanym wcześniej kątem, ptaka, do którego zbliża się czająca się za nim szara kuna. Ptak nieświadomy niczego, już nieco uspokojony, wciąż czeka na ratunek. On rzuca liść łożniany i zaczyna biec wielkimi susami. Gdy dobiega, nie ma już kuny i nie ma już ptaka. Robi mu się zimno. Pora wracać. Dokądkolwiek. Dokąd. Skąd?